JORDI SIERRA I FABRA

DWA DNI W MAJU

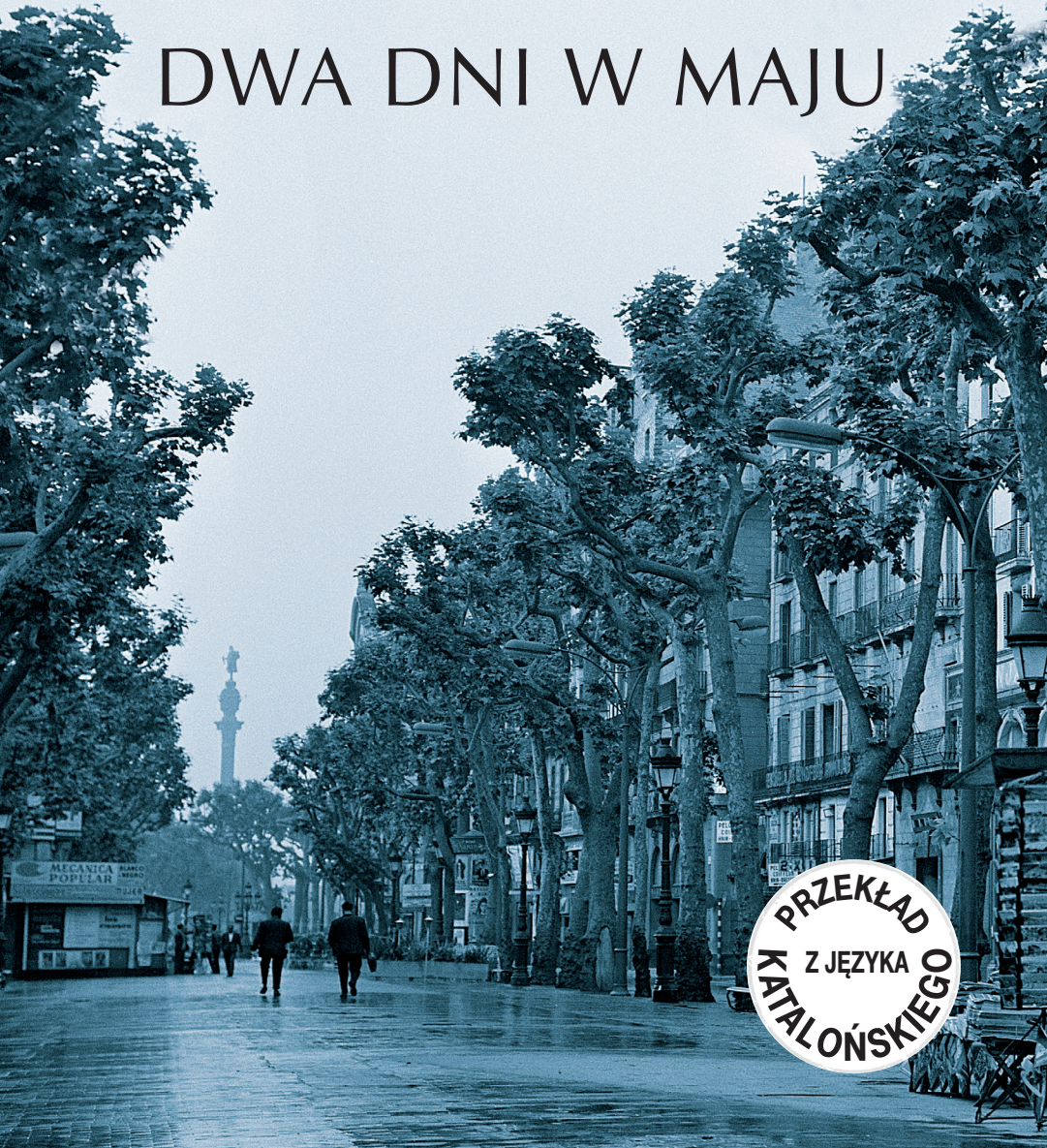

PRZEKŁAD Z JĘZYKA KATALOŃSKIEGO

1

Dziwne uczucie zbudzić się samemu w łóżku, gdy człowiek zdążył już na nowo przywyknąć do towarzystwa.

Niepokojące.

Otworzył oczy, a kiedy przyzwyczaiły się do półmroku, przesunął ręką po zajmowanym przez Patro miejscu, po lewej stronie. Jeśli wstawała wcześniej, w prześcieradłach pozostawał odciśnięty kształt je ciała. Kształt i ciepło. Poduszka leżała zwykle pomięta, bo ją ściskała i gniotła, obracając się we śnie.

Teraz prześcieradło było zimne, nie odcisnął się w nim żaden kształt, a poduszka znajdowała się na swoim miejscu, równo ułożona i nietknięta.

Miquel Mascarell* uśmiechnął się ciężko.

Pierwsze rozstanie.

Pierwsze, odkąd zamieszkali razem, i pierwsze od dnia ślubu.

Nie chciał patrzeć na puste miejsce obok siebie, więc obrócił się na plecy. To tylko cztery dni. Zostały mu jeszcze dwa i jedna noc. Patro wróci najpóźniej jutro.

---

* W nocie tłumaczki na str. 318 można znaleźć informacje dotyczące wymowy katalońskich nazw własnych.

Uśmiechnął się szerzej i zaraz ogarnęła go tęsknota.

Patro prawie zawsze wstawała pierwsza, ale najpierw musiała odprawić swój codzienny, na wpół dziecinny, na wpół kobiecy rytuał: głaskała go, całowała, bawiła się jego stopami, przesuwała nogą po brzuchu, szeptała do ucha, życzyła dobrego dnia, opierała mu głowę na ręce i zwijała się przy nim w kłębek na parę minut, opleciona jego ramionami, nieważne, czy było ciepło, czy zimno.

Oto do jakiego towarzystwa przywykł.

A wtedy dotykał jej nagiej skóry. Zawsze nagiej, nawet zimą.

Skóry życia.

– A dziś, co? – zapytał na głos.

Odpowiedź była prosta.

Nic.

Bezczynne godziny w samotności.

Mógł zostać w łóżku, wylegując się, albo wstać i nie wychodzić z domu, włączyć radio, poczytać, spróbować wrócić do pisania wspomnień. Było wiele sposobów nudzenia się bez Patro. Pierwszy dzień, sobota, był koszmarny, a niedziela – jeszcze gorsza.

– Poniedziałek – wymruczał bez entuzjazmu.

Patro nie byłaby zadowolona, gdyby został w łóżku, a nawet w domu, poddając się melancholii.

Podnosił się ostrożnie, aby uniknąć kłucia w nogach, do pozycji pionowej, sapiąc wściekle z wysiłku. W jego wieku seks dawał mu poczucie wolności, wzmagał żywotność i dodawał energii, entuzjazmu i optymizmu. Zmęczenie spowodowane nicnierobieniem było większe i trudniejsze do zniesienia.

Czasami nawet zmuszało go do odwrotu.

A wtedy powracały duchy przeszłości.

Co zostało z dawnego opozycjonisty, który uniknął kary śmierci i przetrwał frankistowskie więzienie?

Poszedł do pralni, odkręcił kurek i pochylił się nad misą, żeby obmyć ciało, zwłaszcza pachy. Upał już się dawał we znaki, ale Miquel i tak pożałował, że nie nagrzał w garnku choć trochę wody. Drżał przez chwilę z zimna. Potem się wytarł i ubrał. Nie zawiązywał krawatu. Kołnierzyk koszuli zostawił rozpięty. Dla wygody. Mało elegancko, ale wygodnie. Pójdzie najwyżej do baru Ramona na śniadanie, żeby rozprostować nogi.

– No już, do dzieła. Mały spacerek ci nie zaszkodzi – próbował dodać sobie animuszu.

Sięgnął po marynarkę, włożył ją i ruszył powoli schodami w dół, stopień za stopniem. Dozorczyni siedziała przy wejściu, w przeszklonej portierni. Uniosła głowę znad niekończącej się nigdy robótki, nie tracąc przy tym tempa, ponieważ dłonie ani na chwilę nie przestawały poruszać drutami. Z pewnością całą rodzinę, nawet jeśli była wielka, musiała wystroić w dzieła swojego wyrobu. Albo prowadziła jakiś interes na boku.

– Dzień dobry, pani Gabrielo.

– Dzień dobry, panie Mascarell.

Pan Mascarell.

Widać, że jego notowania wśród sąsiadów wzrosły. Już nie był „facetem, który mieszka z dziewczyną z trzeciego”.

W konkubinacie.

Teraz byli mężem i żoną. Kościół tak ustanowił.

Gdy po raz pierwszy, nie licząc pogrzebów i cudzych ceremonii, postawił nogę w kościele, po ponad trzydziestu latach od chrztu Rogera.

Wyszedł na ulicę i bez pośpiechu skierował kroki w stronę baru Ramona. Na którego zresztą się natknął, jak tylko przekroczył próg.

– Dzień dobry, profesorze! – powitał go tamten. – Wcześnie pan dziś wstał.

Miquel już dawno odpuścił i przestał prosić, żeby tak go nie nazywał.

– Dzień dobry.

– Grzeje od rana, co? Jeszcze parę dni i przyjdzie lato.

– Spokojnie. – Usiadł przy swoim stole, a przynajmniej przy ulubionym, który cudownym zrządzeniem losu był akurat wolny.

– A gdzie pani?

Pani.

Gabriela nazywała go „panem", a Ramon mówił o Patro „pani".

Do tego jeszcze się nie przyzwyczaił.

Musiał od czasu do czasu zerkać na obrączkę, na serdecznym palcu lewej ręki.

– Pojechała z siostrą do Tortosy odwiedzić daleką kuzynkę, która podupadła na zdrowiu.

– Na długo?

– Wraca jutro wieczorem.

– Czyli został pan samiuteńki. Ładnie, ładnie.

– No właśnie.

– Niech się pan tylko nie zmieni od tego w casanovę.

– Ramon… – Przeszył go morderczym spojrzeniem.

– Tylko żartowałem, bez urazy. – Właściciel baru żywo gestykulował. – Przy żonie tak pięknej jak pańska… Dobrze, co podać? To co zwykle?

– Tak.

– Dzisiaj tortilla udała się mojej pani znakomicie.

– Niech będzie.

– A o wczoraj, co mi pan powie? Miałem rację czy nie?

Poniedziałek. A w poniedziałek rozmawiało się o piłce nożnej. Czy mu się to podobało, czy nie, Ramon i tak zdawał mu

relację. Poprzedniego dnia rozstrzygnął się finał Pucharu Generalissimusa. Nie miał nawet pojęcia, kto wygrał.

– Mówiłeś, że wygra…

– València! Ledwo co, ale zawsze… Tym razem Bilbao nie miało nic do roboty, chociaż wszyscy ich mieli za faworytów, a walenckich chłopaków za ofiary. Szkoda tylko, że nas wyeliminowali, bo gdyby Barça zagrała, wszystko wyglądałoby inaczej. To pewne.

– Bez wątpienia.

– Nie można ciągle wygrywać. Znowu mamy pierwsze miejsce w lidze. Co zresztą było do przewidzenia. Puchar to już za wiele. Trzeba zostawić coś dla innych.

– W pełni się zgadzam. – Zawsze wolał podejście pragmatyczne. – To może podasz mi teraz śniadanie, a potem wszystko opowiesz?

– Tak jest, profesorze! – Ramon chwycił się pod boki i odwrócił na pięcie.

Profesorze.

Nazywał go „panem Miquelem", tylko gdy pytał o coś na poważnie.

Czekał spokojnie. Przez wielkie okna z wypisanymi na szybach białą farbą reklamami tapas i kanapek widział ulicę pełną samochodów i wiecznie spieszących się ludzi, w drodze nie wiadomo dokąd. Pośpiech to znak nowych czasów. Dzień jest za krótki. Dziesięć lat i cztery miesiące temu skończyła się wojna, a jakby nikt o tym nie pamiętał.

Przynajmniej na zewnątrz.

W środku każdy coś w sobie dusił.

Co zrobią, on i Patro, kiedy skończą się pieniądze z lipca czterdziestego siódmego, te które wyniósł z domu Rafaela Casamajora po jego śmierci?

Mogą im wystarczyć jeszcze na parę lat, jeśli będą żyć bez większych zbytków, skromnie, ale nie na zawsze.

Dlaczego więc był przygnębiony?

Jutro wróci, ośle, skarcił się w myślach.

Czyżby się czuł aż tak samotny?

Dlaczego z nimi nie pojechał?

„Nie bądź niemądry! Po co masz się męczyć podróżą?", powiedziała Patro. „Może już nie będzie żyła, kiedy przyjedziemy. I co wtedy…? Tu masz spokój, a ja się już nimi zajmę".

„A jeśli będziesz musiała zostać dłużej?"

„Wtedy zostanie moja siostra, a ja wrócę. To już ustalone".

Ramon przyniósł solidną porcję ziemniaczanej tortilli i kawę. Ludzie kupują jedzenie na kartki, a on raczy się na śniadanie tortillą. Tysiące republikanów przetrzymywanych w Dolinie Poległych zmusza się do niewolniczej pracy, ale jego nie ma wśród nich, on jest wolny i szczęśliwy, dzięki zrządzeniu losu oraz nawykom byłego policjanta.

Czysty instynkt przetrwania.

– Przyniosę później gazetę, teraz czyta ją tamten pan – zaoferował się właściciel baru.

Ową gazetą był, ni mniej ni więcej, tylko „El Mundo Deportivo". Ciekawi informacji niesportowych musieli pierwszego dnia tygodnia zadowolić się wiadomościami z „Hoja del Lunes".

– Nie ma pośpiechu – odpowiedział z niewymuszoną szczerością.

Ramon nie został, żeby porozmawiać. Wrócił do baru. Miquel mógł więc zjeść śniadanie w spokoju, pogrążając się jednocześnie w pozbawionych większego sensu myślach. W więzieniu, czekając na rozstrzelanie, i potem w Dolinie Poległych, gdzie spędził na przymusowych robotach osiem i pół roku, potrafił żyć z pustką w gło-

wie i z wyimaginowanymi rozmowami z Quimetą. Teraz jednak Quimeta już od miesięcy nie pojawiała się w jego rozmyślaniach i znów zaczął czuć naturalny dla ludzi strach przed życiem. Kto nie ma nic, ten się nie boi niczego stracić. Lecz ten, kto coś ma…

Bycie z Patro równało się największemu bogactwu.

Spokój, miłość… Czego można chcieć więcej?

Demokracji, tak, i jeszcze śmierci dyktatora. Ale to już zupełnie inna sprawa.

Hiszpania kręci się w błędnym kole od czasów królów katolickich: wojny, dyktatury, królowie płodzący idiotów z kuzynkami, ciotkami i siostrami przyrodnimi. Do tego Kościół, jak wieczne zakotwiczenie w przeszłości, wojskowi i kolejne wojny, więcej księży i więcej ciemnoty…

– Źle pan wygląda – rzucił Ramon, przechodząc obok. – Powiem wszystko małżonce, niech mi pan wierzy.

Młoda i piękna żona.

Oto sedno sprawy.

Nie miał ochoty na towarzystwo Ramona ani drobiazgową relację z meczu. Wprawdzie Barcelona nie grała, ale z pewnością wysłuchał transmisji przez radio. Finał to finał. Bar coraz bardziej przypominał muzeum poświęcone sukcesom Barçy. Zdjęcia piłkarzy, niektóre nawet z dedykacją, afisze z ważnych meczów, chorągiewki, oprawione w ramki pierwsze strony gazet, jak choćby ta z „El Mundo Deportivo" z poniedziałku osiemnastego kwietnia, kiedy dzień wcześniej Barça wygrała ostatnią ligę.

Z kieszeni marynarki wyciągnął monety, żeby zapłacić.

A kiedy znów podniósł oczy, on stał tuż przed nim.

Około siedemnastoletni chłopak, wysoki, mizerny, wręcz skóra i kości, w niedopasowanym ubraniu, krótko ścięte włosy, orli nos, wytrzeszczone oczy i ogromne jabłko Adama sterczące pośrodku

szyi. Nie był pewien, czy dać mu drobniaka, czy spytać, o co chodzi, ponieważ swoim wyglądem przedstawiał obraz nędzy i rozpaczy.

– Pan Mascarell?

– To ja.

– Dozorczyni powiedziała, że pana tutaj znajdę.

– Zgadza się, jestem tu.

Grdyka chłopaka poruszała się w górę i w dół.

– Przysyła mnie Maria Galvany.

Teraz to on musiał się upewnić.

– Maria?

– Tak, proszę pana.

Miquel zadrżał.

Nikt nie posyła do kogoś człowieka, żeby mu przekazać, że wszystko jest w porządku.

Chłopak kiwnął głową.

– Chodzi o jej ojca, pana Mateu – kontynuował głosem pełnym bólu. – Nie żyje, wiedział pan? Potrącił go samochód i…

Mateu Galvany.

Nie żyje.

Być może już od pierwszej chwili przeczuwał, że dzień będzie paskudny.

Teraz przeczucie się potwierdziło.

2

Wejście do Szpitala Klinicznego od strony ulicy Villarroel zawsze wypełniał tłum ludzi. Wychodzących, którzy zabawiali się, opowiadając o tym, co właśnie zobaczyli albo usłyszeli, pokrzepieni albo smutni, oraz tych, którzy szykowali się do wejścia i w oczekiwaniu na spóźnialskich rzucali pełne niepokoju uwagi na temat tego, co ich w środku spotka. Cierpienie mieszało się z tłumionym napięciem. W tym miejscu nadzieja była dobrem wspólnym i jedyną rzeczą, która pomagała większości utrzymać się przy życiu.

Miquel spojrzał na stary gmach i cofnął się pamięcią do swojej poprzedniej w nim wizyty.

Styczeń, 1939 roku. Rozwiązywał ostatnią sprawę, tuż przed wkroczeniem frankistowskich wojsk do miasta i zakończeniem wojny.

Od siedmiu miesięcy nie jechał taksówką, od października ubiegłego roku, kiedy szukał grobu chłopca, który zginął w pierwszych godzinach po wybuchu zbrojnego powstania.

Siedem miesięcy.

Wszystko się tak bardzo zmieniło…

Patro, Roger, jego brat…

– Ile się należy?

Taksówkarz nie odpowiedział, wskazał tylko na licznik.

Miquel wręczył mu pięć peset i poczekał na resztę. Nie dał napiwku. Skoro tamten chciał zaoszczędzić na ślinie, on zaoszczędzi na gotówce. Wypuścił chłopaka i wysiadł.

Chłopak nazywał się Pere.

Nie okazał się zbyt rozmowny. Maria miała sama wszystko wyjaśnić. Jego wysłała tylko po to, żeby sprowadził Miquela albo przekazał komuś, że na niego czeka. Chłopak mieszkał po sąsiedzku z rodziną Galvanyów i obydwoje, Mateu i Maria, bardzo go lubili. I…

Był skryty.

Podczas całej jazdy taksówką Miquel wiele się od niego nie dowiedział. Ostatni raz spotkał się z Mateu zupełnie przypadkiem w zeszłym roku, również w październiku. Pamiętał nawet datę: jedenastego. Kiedy szukał tamtego grobu, który otworzył mu oczy na jego własną przyszłość, zrządzeniem losu przechodził obok domu Mateu w Sants i wstąpił go odwiedzić.

Zrządzeniem losu.

Może to jednak nie był przypadek.

Przez wszystkie lata pracy w policji ciągle mu powtarzano, że nic się nie dzieje przypadkiem. Gdyby tamtego dnia nie wstąpił z wizytą, dzisiaj by go tutaj nie było, bo ani Mateu, ani jego córka nie wiedzieliby, że przeżył.

Szedł niczym automat w ślad za Pere, który pędził z młodzieńczą energią, wymijając każdego, kto mu stanął na drodze, prosto ku swojemu celowi. W końcu musiał go przyhamować:

– Zwolnij trochę. Mateu nam nie ucieknie.

Chłopak nie pojął makabrycznego żartu.

On, zresztą, też.

W obliczu śmierci reagował zwykle w ten sam sposób. Najlepszą obroną był śmiech. Opowiadanie dowcipów na pogrzebach brało się ze strachu żywych, którzy wiedzieli, że prędzej czy później czeka ich to samo: cholerna skrzynka na ostatnią podróż. Gdyby umarł razem z Quimetą albo w cholernej Dolinie Poległych, nie miałoby to żadnego znaczenia. Teraz jednak miało. Teraz, gdy w końcu udało mu się ze sobą pogodzić.

Dotarli do celu. Pere wszedł do sali wyłożonej białymi płytkami, zimnej i sterylnej. Ostatnia posługa w szpitalu to, mimo wszystko, nie to samo co pochówek przygotowany przez zakład, z całą, stosowną do okazji, pompą.

A właściwie dlaczego w szpitalu?

Może kiedy został potrącony, nie zginął na miejscu?

Miquel nie zapytał o to Pere w trakcie jazdy taksówką, a teraz było już za późno. Wśród niewielu osób w ciszy wypełniających salę dojrzał Marię.

Kiedy go zauważyła, podeszła i uścisnęła bez jednego słowa. Sam uścisk, mocny, pełen jakiejś niewypowiedzianej ulgi. Miquelowi nie pozostawało nic innego, jak go odwzajemnić, więc zamknął ramiona wokół kobiety. Patro była wyjątkowo szczupła, o giętkim, młodzieńczym ciele, natomiast Maria przeciwnie, raczej zażywna i grubokoścista, stąd też kontakt z nią wydał mu się dziwnie nieprzyjemny.

Przyszedł mu na myśl jedenasty października ubiegłego roku i słowa jej ojca: „Maria to wdowa, może ty ją zrozumiesz”.

Zrozumieć.

Więcej połówek w poszukiwaniu nadziei.

– Miquel…

Łzy zwilżyły mu szyję. Położył dłoń na jej karku i pogładził. Miała szorstką skórę. Nieoczekiwanie poczuł współczucie dla tej kobiety. Wdowa po czerwonym we frankistowskiej Hiszpanii była jak naznaczona. Mateu umarł w wieku siedemdziesięciu sześciu lat. Jego córka miała ich czterdzieści osiem.

Przypomniał sobie, co jeszcze powiedział Mateu tamtego dnia: „Nie został już nikt, Miquel, nikt".

Tylko oni.

Jego dawny szef, człowiek, który uratował mu życie, emerytowany w trzydziestym piątym, kiedy wystrzelony przez tamtego łachmaniarza pocisk okulawił go na zawsze, położył kres karierze i zamknął drogę do stanowiska komisarza.

Teraz jego też już nie było.

– Bardzo mi przykro – powiedział.

Jego słowa wzmogły tylko płacz Marii, która ściskała go kurczowo, jakby się bała, że upadnie, jeśli go puści.

Miquel nie wiedział, co robić.

Więc nie zrobił nic.

Stał spokojnie, póki córka przyjaciela nie zwolniła uścisku, wytarła głośno nos i zaczęła się stopniowo uspokajać.

Kiedy wreszcie go puściła, spojrzeli na siebie.

– Wszystko w porządku? – spytał, zdając sobie jednocześnie sprawę, że chyba to najgłupsze, co mógł powiedzieć.

Maria wzruszyła ramionami. Zaczerwienione oczy, rysy zmienione bólem i napuchła niczym gąbka twarz sprawiały, że wyglądała na starszą. Jej matka była kobietą z klasą: wysoka, ze świetną prezencją. Ona natomiast wdała się w ojca, również pod względem psychiki.

– Wszystko stało się… tak nagle. – To były jej pierwsze słowa.

– Kiedy zginął?

– Wczoraj.

– Dlaczego dałaś mi znać dopiero dziś rano?

Po raz kolejny wzruszyła ramionami.

– Wczoraj się czułam… Nie wiem, jakaś nieobecna. O niczym nie potrafiłam myśleć. Dziś wprawdzie nie jest lepiej, ale przynajmniej mogę się skupić.

– Gdzie leży?

– Tam. – Wskazała głową w stronę drzwi w głębi sali.

– Mogę go zobaczyć?

– Nie, nie pozwalają. Poza tym ciało jest bardzo pokiereszowane.

– Rozumiem. – Przełknął ślinę. – Dlaczego nie leży w zakładzie pogrzebowym?

– Policja przyniosła ciało tutaj.

– Policja?

– Później ci wytłumaczę.

– Zgoda.

Ktoś ją zawołał. Jakaś kobieta. Maria się oddaliła i Miquel został w końcu sam. Pozostali nie odrywali teraz od niego spojrzenia. Mężczyźni i kobiety z sąsiedztwa i może jeszcze parę osób, ponieważ Mateu nie miał już rodziny. Najmłodszy z przybyłych zbliżał się do pięćdziesiątki. Wyjątkiem był Pere. Chłopak stał z dala od grupy, oparty o ścianę. Ciemna plama na białym tle.

Miquel miał ochotę wyjść stamtąd jak najszybciej.

Wziął głęboki oddech i spróbował się uspokoić. W październiku ubiegłego roku dał Mateu pięćset peset, jak jakiś bogacz; obiecał jeszcze go odwiedzić, mieli urządzić kolację.

Nic z tego nie wyszło.

Mateu i Maria należeli do przeszłości.

I nie chciał wracać do niej z Patro.

Teraz było już za późno.

Ruszył do miejsca, gdzie stał Pere, i położył mu rękę na ramieniu. Chłopak podniósł głowę i uśmiechnął się. Wyglądał jak zagubiony piesek.

– Lubiłeś go?

– Tak.

– Mieszkasz w tym samym domu?

– Tak. Piętro niżej, z ciotką.

– A twoi rodzice?

– Ojciec zginął na froncie, a matka jest od końca wojny chora.

Nie potrafił wyobrazić sobie Mateu w roli zastępczego ojca dla chłopaka z sąsiedztwa, choć pewnie na swój sposób darzył go sympatią. Dla chłopca jego odejście musiało być wielkim ciosem.

– Chodzisz do szkoły?

– Nie, proszę pana. Pracuję. A dzisiaj nawet nie zapowiedziałem, że mnie nie będzie. Nieźle mi się oberwie.

– Powiesz im o pogrzebie.

– Sąsiada? Jednego nie puścili nawet na pogrzeb jego własnej babki.

– Powinieneś chodzić do szkoły.

– Po co? Jak tylko będę mógł, to stąd wyjadę. Ten kraj to jedna wielka kupa gówna.

– Nie mów tego głośno, chłopcze, a już na pewno nie przy obcych, bo skończysz za kratkami. – Rozejrzał się wokół z niepokojem.

– Pan Mateu opowiadał mi o was. Wiem, kim pan jest. Nie jestem głupkiem.

– Opowiadał ci o mnie?

– Mówił, że był pan najlepszym policjantem w całej Barcelonie, że miał pan nosa i in… intu… instu…

– Intuicję.

– Właśnie. – Nie próbował powtórzyć tego słowa. – Mówił, że kiedy brał pan jakąś sprawę, nie odpuszczał pan aż do końca. I że był pan cierpliwy i badał wszystkie wątki, i miał wszystko dobrze poukładane, o tu. – Palcem wskazującym prawej ręki dotknął głowy. – Opowiadał mi historie z czasów, kiedy pracowaliście w policji przed wojną, w dobrych czasach.

W dobrych czasach.

Około siedemnastoletni chłopak mówiący o „dobrych czasach".

– Ile masz lat?

– W przyszłym tygodniu będzie osiemnaście.

– Powiedziałeś wcześniej, że Maria wszystko mi wytłumaczy. Ale co ma mi wytłumaczyć?

Jego spojrzenie wypełnił ból.

I strach.

– Lepiej, żeby to ona panu powiedziała – odparł.

Nie rozmawiali więcej. Nagle całe towarzystwo zebrało się do wyjścia. Zeszli po schodach i dotarli do niewielkich rozmiarów kaplicy. Nieliczna grupa rozlokowała się na kilku ławkach, popatrując po sobie; największe zainteresowanie żałobnikami wykazywał pewien mężczyzna w ciemnym garniturze. Maria usiadła sama, z przodu. Mascarell zajął miejsce w trzecim rzędzie, obok Pere. Trumna należała do tych najprostszych. Z najtańszego drewna. Rzecz jasna Mateu było to teraz obojętne.

To, co nie byłoby mu obojętne, nastąpiło później.

Katolicka ceremonia pogrzebowa dla zatwardziałego republikanina.

Miquel wpatrywał się w skrzynkę, jakby czekał na jakieś poruszenie albo krzyk dobywający się z wnętrza.

Niezadowolonego, wiecznie nieukontentowanego Mateu.

Pod dyktaturą nie można nawet umrzeć w spokoju.

– Brat nasz, Mateu Galvany Pedrosa… – zaczął duchowny, wymawiając katalońskie „ny" w nazwisku Galvany na sposób hiszpański, rozdzielając je na dwie osobne zgłoski – opuścił nas, by przenieść się do lepszego życia, u boku Stwórcy…

Miquel starał się nie słuchać dalej.

Gdyby Mateu znalazł się u boku „Stwórcy", ten długo by z nim nie wytrzymał.

Albo by przystał do komunistów.

Prawie się uśmiechnął.

Franco, duchową ostoję Zachodu, szlag by trafił z Bogiem komunistą.

Kazanie nie było specjalnie długie. Jedna litania i kilka modlitw. Albo mu powiedzieli, kogo grzebie, i choć należał do nieustępliwych, wzięła go litość, albo miał co innego do roboty. Poświęcił trumnę i zakończył pochówek słowami pociechy dla Marii. Po zakończeniu ceremonii zaczęła szukać Miquela spojrzeniem. Instynktownie skrzyżował ręce na piersi.

– Mogę cię prosić o przysługę? – spytała.

– Oczywiście.

– Za karawanem pojedzie samochód dla rodziny i…

– Będę z tobą, nie martw się. Nie pozwolę, żebyś jechała sama.

– Muszę z tobą pomówić o… – Łzy znów nabiegły jej do oczu, kiedy trzymała go za ramiona.

Poczuł, jak drży.

– Chodźmy. – Próbował ruszyć, z nadzieją, że kobieta pójdzie w jego ślady.

Ale się nie udało.

Maria zupełnie się załamała.

– Zabili go… – wykrztusiła drżącym głosem. – Zabili go i… nie wiem, dlaczego… – Łzy ciekły jej po policzkach. – Ojciec był już tylko niegroźnym starcem. Miquel, dlaczego musieli go zamordować? Dlaczego?